

BARBARA RYBAŁTOWSKA

CO TU PO NAS ZOSTANIE

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM VIII



AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

BARBARA RYBAŁTOWSKA

CO TU PO NAS ZOSTANIE

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM VIII



AXIS MUNDI

AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk

SKŁAD: Positive Studio

ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska

KOREKTA: Iwona Hardej

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

WYDANIE II

ISBN: 978-83-8394-902-4

EAN: 9788383949024

ISBN E-BOOK: 978-83-8394-903-1

Copyright © by Barbara Rybałtowska

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Rozdział dziesiąty.

Rozdział jedenasty.

Rozdział dwunasty.

Rozdział trzynasty.

Rozdział czternasty.

Rozdział piętnasty.

Rozdział szesnasty.

Rozdział siedemnasty.

Rozdział osiemnasty.

Rozdział dziewiętnasty.

Rozdział dwudziesty.

Rozdział dwudziesty_pierwszy.

Rozdział pierwszy

Rodzinie Kalczyńskich udało się tej zimy spełnić ich wieloletnie marzenie. Boże Narodzenie i Nowy Rok spędzili na Mazurach! Co prawda nie w swoim domu, bo poza kominkiem nie mieli tam innego ogrzewania, ale w gościnnych pokojach Jeremiego i Marianny, zaprzyjaźnionych z nimi właścicieli Parku Dzikich Zwierząt.

Gospodarze zaprosili też córkę Kalczyńskich z mężem i dziećmi, no i oczywiście seniorkę rodu, Zofię, matkę Kasi. Marianna i Jeremi Wielopolscy de Grimmond uwielbiali ją, a jej obecność przydawała jeszcze więcej smaku świątecznym potrawom.

Udomowione szczenięta wilków i innych zwierząt snuły się po korytarzach niezamieszkannej części domu, dzieci więc spędzały tam czas to na śledzeniu zabaw wilcząt z borsukiem, to na głaskaniu trzech pięknych kotów lub przyglądaniu się podobnie jak one białym sowom.

Półtoraroczny Michałek zasypiał wczesnym wieczorem, lecz ośmiopółletnia Oliwka buszowała po domu do późna. Wywalczyła też sobie pozwolenie na uczestnictwo w powitaniu Nowego, 2003 Roku. I – o dziwo! – nie tylko wytrzymała do tego czasu, ale dopiero o pierwszej po północy udało się położyć ją do łóżka.

Dla niej cały pobyt w tym domu był cudem. Choinka na dziedzińcu, czyli rosnąca tam wysoka jodła, ubrana i oświetlona, z jej perspektywy sięgająca do nieba, zwierzaki, które uwielbiała obserwować od rana do wieczora, spacer po parku – wszystko to miało wymiar niezwykły. Można było odnieść wrażenie, że są to najpiękniejsze święta w jej prawie dziewięcioletnim życiu.

Oczywiście Kalczyńscy wybrali się na wycieczkę do swojego domu, oddalonego o zaledwie pięć kilometrów, ale wrócili stamtąd zdeglustowani. Nie zdołali wjechać na podwórko, bo było zawiane śniegiem, a dom okazał się wyiębiony i nieprzyjazny, toteż z nosami na kwintę czym prędzej wrócili w gościnne progi Marianny i Jeremiego.

Ku radości dzieci Jeremi prawie przez cały okres świąteczny chodził w stroju świętego Mikołaja. Zresztą było mu w nim do twarzy. Tym bardziej że prezentował się w nim, jak to on, nadzwyczaj wytwornie. Doprawdy, były to magiczne święta!

Upłynęło sześć dni od powrotu do Warszawy, gdy Kasia zdała sobie sprawę z ogromnych zaległości w swojej pracy nad tłumaczeniem. Takie były koszty świątecznej sielanki. Uznała, że jeśli nie uda się jej oswobodzić od prowadzenia domu i troszczenia się o matkę, nie zdąży wywiązać się z tej pracy na czas. I wtedy pomyślała o pensjonacie „U Jagi”.

– A co by było, gdybym sprawdziła zapewnienia Jagi, że jej pensjonat jest wymarzonym miejscem do pracy? – spytała Maćka. – Może wszyscy tam pojedziemy, pod warunkiem że zamieszkamy w oddzielnych pokojach?

– Ja dziękuję – odpowiedział – mam akurat zjazd PZM-otu i inne sprawy, ale ty weź mamę i jedźcie.

Oczywiście, chcąc spokojnie pracować, musiała mieć matkę w pobliżu, żeby się o nią nie martwić.

– Daj mi spokój – zaprotestowała Zofia. – Jeszcze się w domu nie nabyłam.

– Ale tam nie będziesz musiała gotować ani sprzątać i będziemy chodziły na spacerki pod tężnię. Przecież lubisz Konstancin. A ja będę spokojna, że nic złego się z tobą nie dzieje.

– Ale dlaczego u Jagi? W ZAiKS-ie jest chyba taniej.

– Nie ma wielkiej różnicy w cenie, a u Jagi przytulniej. Zobacysz, spodoba ci się.

Jagę poznała Kasia prawie czterdzieści lat temu w Paryżu, kiedy ta jak zwykle towarzyszyła mężowi, profesorowi Kazimierzowi Szczuce, w jego podróży literackiej. To tam umawiał się z tuzami światowej literatury, którą tłumaczył na język polski. Podobnie jak Kasia, Szczukowie mieszkali wtedy w hotelu Akademii Nauk przy ulicy Lauriston.

Kobieta ta fascynowała ją niezmiennie. Podziwiała jej hart, urodę, wyczucie mody i stylu, odwagę w wyrażaniu sądów o wszystkim, czym interesował się jej wielki mąż. Kasię zdumiewała jej gotowość do bycia mu niezbędną.

W swojej przepaścistej, acz stylowej (i z pewnością horrendalnie drogiej!) torbie z miękkiej skóry nosiła zawsze wszystko, co JEMU mogło być potrzebne. Był tam więc pojemnik z JEGO lekarami, lekki angorowy pledzik, którym przykrywała mu nogi w czasie poobiedniej drzemki w fotelu, był egzemplarz książki, którą właśnie czytał czy tłumaczył, i wiele mniejszych i większych rekwizytów, podnoszących komfort JEGO egzystencji. Jaga to wszystko zwykła mieć na podorędziu, czyli w swojej torbie. Kasia zastanawiała się, czy jest w niej miejsce na jej grzebień czy szminkę. Chociaż patrząc na nią, trudno było w to wątpić.

Jednakowoż ta „Ruda”, jak ją powszechnie nazywano, przy swoim okazałym i potężnie zbudowanym mężu starała się być li tylko jego nieważnym dopełnieniem. I wiele osób udawało się jej zmylić. Jaga chętnie się śmiała, toteż brano ją za atrakcyjną oprawę rezonującego i wiodącego prym w każdym towarzystwie erudyty. Jeśli ktoś w trakcie rozmów kierował do tej pary pytanie: „Co u was?” – odpowiadała zazwyczaj ona, najczęściej tak lub podobnie:

– Dziękujemy, dobrze. Kazio po ostatniej grypie jest już zdrowy. Niedługo będzie promocja nowego Caldwella w jego przekładzie. Recenzenci rozplývają się w zachwytach nad mistrzowskim tłumaczeniem. Posłuchajcie zresztą, co mówi o tym prowadząca *Tele-Echo* i jak Kazio zaripostował...

Kazio to, Kazio tamto, a ona sama jakby nie istniała lub była jego rzeczniczką prasową. W dodatku mówiła to wszystko, nie przerywając zajęć przy swoim idolu, otulając go pledem, poprawiając mu poduszkę na fotelu, strącając niewidoczny pyłek z jego marynarki.

Kasia uświadomiła sobie nagle, że nigdy nigdzie nie widziała ich razem w innym układzie, gdy Jaga siedzi wygodnie, a on stoi w gotowości świadczenia jej jakiejś usługi lub udzielenia pomocy.

Zdumiewająca jest ta Jaga! – pomyślała. – Żeby tak dalece poświęcić swoje ja dla mężczyzny, tak mu się podporządkować, tak żyć dla niego na co dzień. Ileż trzeba na to hartu i pokory? W dodatku podkreślając nieustannie panujące w stadle hierarchie. Albo też – zastanowiła się w duchu – jak pięknie jest kochać i szanować swego partnera przez tak długi czas, bo ich staż małżeński liczył sobie już dobrych kilka dziesiątków lat. A on, wielki Szczuka, czy też tak ją kocha i szanuje, czy tylko darzy wdzięcznością za pielęgnowanie jego ego? Jestem okropna – pomyślała o sobie surowo. – Bo też kto jak kto, ale ona miała Szczuce wiele do zawdzięczenia. Przed laty był on wykładowcą na jej studiach podyplomowych, a wcześniej to u niego obroniła swoją pracę dyplomową. A najważniejsze było to, że poza wiedzą, którą jej przekazał, wzięła sobie do serca jego rady praktyczne, dotyczące pracy tłumacza:

„Żeby nie wiem co się działo, tłumacz musi codziennie przełożyć sześć do ośmiu stron tekstu. Najlepiej z rana, jeszcze przed śniadaniem. Jeśli nie

uda mu się zrobić więcej w ciągu dnia, nie musi się tym dręczyć, bo systematyczność i tak przyniesie efekty”.

Kasia zapamiętała tę radę i trzymała się jej, przyznać trzeba, skutecznie. W sprzyjających warunkach oczywiście udawało się jej nieraz podwoić lub nawet potroić tę normę, ale to było dość dawno temu. Teraz, zwłaszcza od śmierci Hani, córki Mai Tarnowskiej, nie miała zbyt wielu propozycji ani potrzeby, żeby bez przerwy tyle pracować. Od czasu kiedy zaczynała, minęło wiele lat, ale to już zupełnie inna historia.

Kazimierz Szczuka nie żyje już od prawie ćwierćwiecza, a wdowa po nim, jak się okazało, jest zdolną architektką. Jednakże tylko od czasu do czasu robi jakiś projekt, którym zachwyca i o którym jest głośno. Bo mimo wszystko architektura stała się jej zajęciem ubocznym.

Przede wszystkim prowadzi swój pensjonat. Jego rezydentami są przeważnie ludzie podobni do jej zmarłego męża, przedstawiciele środowiska, z którym nie potrafiła i nie chciała się rozstać. Pokazała wprawdzie pazur zawodowy, kiedy to po półrocznej żałobie zaprojektowała nowoczesne osiedle obok centrum handlowego w zalesionej okolicy Warszawy. Zasłynęła jednak nie jako architektka, ale jako kreatorka i właścicielka renomowanego pensjonatu „U Jagi”. Przynajmniej w środowisku literatów i bohemy. Miejsce pobytu tam trzeba było zamawiać z dużym wyprzedzeniem.

Kasi udało się dostać pokoje okazjnie, z powodu nagłego wyjazdu stamtąd jednego z pensjonariuszy. Wygody i kuchnia pensjonatu nie różniły od tego, co zapewniają Domy Pracy Twórczej ZAiKS-u. Jeśli już, to na jego korzyść. Były więc śniadania do łóżka, doborowe towarzystwo, jednoosobowe pokoje. Nawet małżeństwa rezydowały rozłącznie w sąsiadujących z sobą pokojach, żeby być blisko, ale też trochę odpoczywać od siebie.

Kasia zajęła tym razem pokój narożny, z pianinem i tarasem, który łączył ją z pokojem matki. Miały komfort, spokój i przestrzeń. Żyć, nie umierać! Jedyne obowiązki to spacer po ogrodzie lub okolicy, aby obsługa mogła posprzątać pokoje, a także obecność o wyznaczonej godzinie na obiedzie i kolacji w jadalni. Reszta czasu należała do nich.

Któregoś dnia Zofia powiedziała do córki:

– Nie wiem, po co ty mnie zabierasz z sobą, skoro masz tyle pracy? Tylko ci przeszkadzam.

– Ty przeszkadzasz, mamó? Wręcz odwrotnie – odpowiedziała Kasia. – Cokolwiek robię w twojej obecności, staje się sukcesem. Jesteś moim talizmanem.

– Mówisz tak, by mnie pocieszyć. Zmuszasz się, żeby mnie wyprowadzić na spacer i...

– Zmyślasz, mamuś! Chętniej chodzę na spacer, niż ślęczę nad tym tłumaczeniem. A co, mnie się nie należy trochę powietrza?

– Wiem, wiem, mądrało, jaki z ciebie łazik. Ale z tym, że sukcesy odnosisz tylko w mojej obecności, mocno przesadziłaś.

– Wcale nie! Przypomnij sobie teksty, które pisałam przy tobie – wszystkie stały się przebojami. A monodram? Cały napisałam w czasie naszych niedzielnych posiadów, a gram go i gram. Jesteś, mamó, czarodziejką, masz jakąś magiczną moc i nie chcesz się do tego przyznać.

– A tam! Zawracanie głowy! Gdybyś nie miała talentu, nic by z moich domniemyanych czarów nie wyszło.

– A to, że potrafisz mnie swoimi wypowiedziami dowartościować jak nikt na świecie, to się nie liczy? Jesteś moim talizmanem i już! Dbanie o ciebie to czysty egoizm, bo bez ciebie przestanę być twórcza.

– Ale się rozkręciłaś. No to co, idziemy pod tę tężnię czy nie?

– Idziemy, idziemy, za pięć minut będę gotowa.

– Tylko nie zapomnij znów wziąć szalika, moje dziecko.

– No właśnie! Kto w moim wieku ma ten luksus, że słyszy przy okazji uwag dodatek „moje dziecko”?

– Skoro tak długo żyję, mam prawo zwracać się do dzieci, jak chcę.

– Na wieki wieków amen! Niech tak będzie jak najdłużej.

Pensjonat „U Jagi” mieścił się dokładnie naprzeciwko Domu Pracy Twórczej ZAiKS-u, usytuowanego przy równoległej ulicy, toteż spacerowicze obydwu przybytków często się spotykali. Ponieważ na ogół wszyscy się znali, zawsze zamieniali ze sobą kilka słów. Nieraz również się odwiedzali.

– Tym razem chyba nie posiedzimy sobie na naszej ławeczce przy tężni. Mróz szczypie w policzki jak diabli – powiedziała Zofia.

– Zimno ci, mamuś? – zatroszczyła się córka. – Zawrócimy, jak będziesz chciała.

– Dam sobie radę, posmarowałam twarz kremem, postawię kołnierz i będzie dobrze. Popatrz no, popatrz, czy to nie twoja sąsiadka z klatki schodowej? Skąd ona tutaj?

– Rzeczywiście, Śliwińska ze swoim nieodłącznym wózeckiem. Czyżby i tutaj polowała na ciuchy?

Kobieta szybkim krokiem zbliżała się do nich.

– Dzień dobry paniom! Czy mnie wzrok nie myli? Ależ to pani Zofia z panią Kasią! Miło się spotkać! Panie pewnie w ZAiKS-ie?

– Tym razem w pensjonacie „U Jagi”. Ale pani skąd się tu wzięła? – zapytała Kasia.

– Ja tu mam drugi dom u córki. Zgarnęła mnie na kilka dni.

– Ach, prawda. Przecież córka mieszka w Konstancinie, zapomniałam.

– Idę na targ, dzisiaj przecież sobota – pochwaliła się pani Basia.

– Niech pani nie mówi, że córka wysłała panią po zakupy. Jak ją znam, wolałaby pani tego oszczędzić.

– Oczywiście. Jeśli chodzi o owoce i żywność, pojechała rano samochodem i wszystko kupiła. Ale tam są takie stoiska z ciuchami i wspaniałe okazje. Muszę zdążyć, zanim córka odbierze dzieci z zajęć w domu kultury.

– Tak myślałam – powiedziała Kasia, robiąc oko do matki.

Bo też pani Basia Śliwińska była niepoprawna w swoim uzależnieniu od ubraniowych zakupów. Odkąd zaistniały w Polsce sklepy z odzieżą „na wagę”, nie było dnia, żeby do nich nie zajrzała i nie wróciła z jakąś zdobyczą. Kiedy żył jej mąż, profesor Śliwiński, bardziej dyskretnie oddawała się swojej pasji, ale po jego śmierci poszła na całość. Aczkolwiek i za jego życia potrafiła zamienić swój dom w składowisko ubrań. Chuda jak patyk, zakupione szmatki wkładała na siebie w sklepie po kilka warstw i ukrywała pod paltem, żeby mąż nie widział, że przychodzi obładowana. Tak było w dni chłodne, ale na ciepłe też znalazła sposób. Ubierała się w luźne, lekkie wdzianka, pod którymi starała się ukryć nowo zakupione rzeczy.

Ta jej przypadłość była prawdziwym utrapieniem jej córki, bo w przypadku cięższej choroby matki, a te przydarzały się jej coraz częściej, pani Basia nie pozwalała wezwać do siebie lekarza. Wstydziała się, że jej dom, a zwłaszcza pokój, w którym spała, był pełen tłumoków i wieszaków z odzieżą. Jak w sklepie. Sprawiała sobie zresztą takie sklepowe stelaże na wieszaki.

– Gdzie tu logika, mamó? – denerwowała się córka pani Basi. – Wiesz, że tak być nie może i wciąż skupujesz łachy? Przecież jesteś mądrą kobietą, skąd ci się to wzięło? Większości z tego nigdy nie założyłaś, po co ci to?

Rzeczywiście, Basia Śliwińska do głupich nie należała. Całe swoje życie przepracowała na różnych stanowiskach w dyplomacji za granicą. Gdy wreszcie przeszła na emeryturę i przestała jeździć po świecie, stała się pilną bywalczynią bibliotek i... mnożących się jak grzyby po deszczu sklepów z używaną odzieżą na wagę.

Za czasów swojej aktywności zawodowej zawsze była elegancka, z pewnością nie miała kompleksu kobiet z demoludów, które ucierpiały z powodu braków w zaopatrzeniu. Szczerze mówiąc, niczego jej nigdy nie brakowało. Tym dziwniejsze więc wydawały się jej obecne nawyki.

Kiedy trzy lata temu zasłabła i trafiła do szpitala, jej córka postanowiła pomóc matce raz na zawsze uporządkować mieszkanie, gdy tylko do niego powróci.

– Tak dalej być nie może! – powiedziała. – Nikt nie potrzebuje tylu ubrań, przecież nawet nie jesteś w stanie niektórych rzeczy założyć. Likwidujemy to!

– To znaczy, co chcesz zlikwidować? – spytała przestraszona pani Basia.

– Cały ten kram, te stelaże, wieszaki razem z tym, co na nich wisi. Musisz mieć czym oddychać w swoim pokoju. Czy ty nie widzisz, że mieszkasz w przepełnionej szafie?

– Widzę, ale...

– Nie ma żadnego ale!

Po tych słowach Beata zaczęła zdejmować ubrania z wieszaków i pakować je do przygotowanych worków na śmieci. Oszczędzała tylko to, w czym od czasu do czasu widywała matkę. Z początku próbowała ona oponować:

– Daj spokój! To taka piękna marynarka!

– I dlatego nigdy jej nie widziałam na tobie?

– Fakt, że jeszcze jej nie nosiłam, ale...

– A wisi tu ze trzy lata.

Widząc, że nie uda się powstrzymać córki przed wyrzucaniem ubrań, Śliwińska usiadła jak zaklęta i patrzyła z niedowierzaniem na to, jak jej zdobycze znikają z wieszaków. Kasia zapamiętała jej przerażoną minę, bo zgodziła się, kiedy jeszcze Barbara była w szpitalu, pomóc córce oczyścić jej dom. To ona doradziła jej, żeby nie robić tego w czasie nieobecności matki, gdyż żal za jakąś ulubioną rzeczą może jej zaszkodzić. I miała rację. Bo chociaż obie sprzątające pytały, czy jest do tego czy owego łacha jakoś specjalnie przywiązana, pani Basia przeoczyła spakowanie jakiejś cennej spódnicy sztruksowej w stylizowane kwiaty i dotąd nie przestała wspominać jej ze łzami w oczach. Podobno była wygodna, bo z kieszeniami, i piękna... Trzeba przyznać, że biedaczka gust miała znakomity, bo potrafiła w stertach łachów na straganach i w sklepach z tanioczą znaleźć okazy znanych światowych firm. Od razu je widziała, takie miała wyćwiczone oko.

– Przynajmniej weźcie coś dla siebie, będę wiedziała, że się nie zmarnuje – powiedziała zrezygnowana. – To takie piękne rzeczy!

– Piękne, ale nienawidzę ich, bo utrudniają ci życie – odpowiedziała jej córka.

– O, patrz! Ta długa marynarka jest w twoim stylu, świetnie będziesz w niej wyglądać – nie ustępowała pani Basia.

– Mama ma rację, niech pani przymierzy – wtrąciła się Kasia.

– A pani też mogłaby sobie trochę powybierać, bo skoro mam tego nie mieć, chciałabym wiedzieć, że komuś posłużą.

– Nie taka była moja intencja, kiedy postanowiłam pomóc pani Beacie.

– No to co? Szykowny ciuszek nikomu nie zaszkodzi.

Co prawda, to prawda. Sprzątające zapamiętałe kobiety dały się wciągnąć w zasadzkę. Teraz role się odwróciły i ubezwłasnowolniona właścicielka „skarbów” przejęła inicjatywę. To ona zaczęła buszować wśród wieszaków, wybierając co bardziej atrakcyjne rzeczy dla obu młodszych kobiet. Po półgodzinie każda z nich poza workami wystawionymi na korytarz miała też i swój.

Kiedy pod wieczór skończyły pracę, Kasia z lekkim podnieceniem, ale i niesmakiem niosła wielki worek zdobyczy do swego mieszkania.

Natomiast sterta worków do wyrzucenia zajęła cały korytarz wzdłuż czteropokojowego mieszkania Śliwińskich, aż do okna. Beata umówiła się z dozorcą, że o zmierzchu powynosi worki i ustawi je koło śmietnika. Ci, co o świcie szukają tam skarbów, będą mieli używanie. Kasia dziwiła się, że nie przekażą ich jakiejś fundacji czy potrzebującym, na co Beata zachnęła się:

– Nie poświęcę im ani sekundy dłużej, nie będę nigdzie jeździć, nienawidzę tych łachów, bo zatruwają życie mojej mamy. A w okolicy kręci się wielu „nurków śmietnikowych”, niech mają niespodziankę.

Kasia wychodząc rano z domu, z ciekawości zajrzała do wiaty śmietnikowej. Beata miała rację. Po workach nie było nawet śladu. Wszystko się komuś przydało! Zaś pani Basia Śliwińska z zapiekłym żalem w sercu po utracie ukochanej spódnicy sztruksowej w egzotyczne kwiaty rozpoczęła w opróżnionym pokoju nowe życie. Nie na zawsze niestety. W niedługim czasie prawie że uzupełniła braki.

Teraz też, zanim te myśli przebiegły przez głowę Kasi, z pustym plecakiem i wózkiem na kółkach zniknęła im z oczu.

– Ciekawa jestem – powiedziała Zofia – czy zdąży wrócić do domu przed córką.

– Myślę, że tak – odrzekła Kasia. – Zauważyłam, że osoby od czegoś uzależnione odznaczają się dużym sprytem w ukrywaniu swoich niecznych poczynań.

– Nie próbowałaś z nią o tym porozmawiać? Przecież to mądra kobieta.

– Naturalnie, że próbowałam, nie raz.

– I co? Dociera do niej, że gromadząc tyle łachów, bałagani sobie życie?

– Dociera i bardzo się tym martwi.

– Więc dlaczego to robi? To jakiś paradoks.

– Bo to nałóg, a z nim niełatwo zwyciężyć.

– Skąd jej się to wzięło?

– Sama się nad tym zastanawia. Może z wojennego dzieciństwa? Podobno była, jak my, z matką na Syberii. A może ze skąpstwa jej męża?

– Był skąpy?

– Tego nie wiem, ale na pewno wygodny. Szybko zorientował się, że małżonka zarabia więcej i nie śpieszył się z otwieraniem swojego portfela. Jeżeli zdarzyło mu się uczestniczyć w domowych wydatkach, bardzo je kontrolował. Basię to zniesmaczało i z czasem zaniechała proszenia go o cokolwiek. Jako że miał w ich stadle pozycję szefa, z czasem zaczął kontrolować również wydatki z jej portfela. Żeby się przed tym obronić, zaczęła lawirować. Nie przyznawała się do zakupów. A że zakazany owoc lepiej smakuje, nasilała się ich ilość.

– Prawdą jest, że każdy nowy zakup mnie odstresowuje, toteż poprawiam sobie nastrój jak najczęściej – wyznała mi kiedyś. – Czy mnie się w życiu już nic nie należy?

– Argument nie do odrzucenia – odpowiedziałam – ale...

– Otóż to! – wpadła mi w słowo. – Te wszystkie „ale” i mnie spędzają sen z powiek, zwłaszcza gdy się obwieszę szmatami tak, że już nie daje się

żyć. I co? Kiedy mam chandrę, zajrzę do sklepu z tanizną i znajdę coś wyjątkowego. Wiem, że jestem niepoprawna, ale nie umiem z tego zrezygnować. I tak żyję w bałaganie, którego nie mogę już opanować, zupełnie inaczej niż kiedyś.

– I nie przeszkadza to pani? – zapytałam.

– Naturalnie, że przeszkadza, i to jak!

– Wobec tego po co...?

– Właśnie, po co? Sama się za to karzę i dalej jestem niepoprawna. Nie umiem, nie potrafię z tym skończyć, chociaż wiem, do czego to prowadzi. Nie jestem zresztą odosobniona w tym nałogu. Moja kuzynka z Krakowa cierpi na podobną dolegliwość, tylko na większą skalę, bo ma więcej miejsca. Ich duży dom stał się przez jej pasję wielkim składowiskiem ubrań. Dzwonimy do siebie czasem, żeby ponarzekać sobie na naszą przypadłość. Bo trzeba pani wiedzieć, że poza tą słabością moja kuzynka to osoba czarująca i niezwykle pracowita, dobra i kochana. Serce na dłoni. I utalentowana. Jakież ona planuje ogrody! Ten przy ich domu, z poprzycinanymi artystycznie drzewami, mnogością kwiatów i ziół, ptasich gniazd i tupiących jeży, wydaje się rajskim miejscem. Uwielbiam ją. Jej przynajmniej ta obfitość toalet się przydaje, bo ona i jej mąż często bywają między ludźmi. Są młodszy, lubią towarzystwo, teatr i operę.

– Pani też nie siedzi w domu, pani Basiu – rozwinęłam temat. – O ile wiem, nie stroni pani od teatru i towarzystwa ze swego środowiska. Mimo wszystko, ile można mieć strojów wizytowych?

– Zwłaszcza gdy się chodzi tylko w ulubionych – dodała.

– Czyli ona jest w pełni świadoma popełnianych przez siebie błędów i nadal je robi? Dziwne – podsumowała Zofia.

– I sama na tym najwięcej cierpi... Szkoda mi jej.

– Może gdyby się czymś zajęła, skończyłaby z tym. Przecież pracując na placówkach zagranicznych, była niezwykle czynna, a teraz jej tego brakuje.

– Teraz też beczynna nie jest. Zajęła się przekładami. Dostaje mnóstwo zamówień. Czasem mi coś podrzuci, gdy nie może ze wszystkim nadążyć.

– No to już nie wiem, jak jej pomóc. Myślałam, że ona tak z nudów.

– Co jak co, ale nudzić się pani Basia nie ma kiedy. Może to jednak jakaś trauma z wojennego dzieciństwa.

I tak Kasia, rozmawiając o przypadłości pani Basi, zorientowała się, że dotarły do tężni.

– Ojej, ale się zagadałyśmy, nie jest ci zimno, mamuś?

– W porządku. Ale obejdziemy tężnię dookoła i nie będziemy przysiądać. Nie sądziłam, że aż tutaj dotrzemy.

– Ja też, żebyś tylko nie zmarła... Mróz szczypie w policzki. Czekaj, przewiążę ci kołnierz szalikiem, żeby osłonić twarz. I nie pójdziemy dookoła tężni, tylko wrócimy stąd.

– E tam, skoro doszliśmy aż tutaj, zrobimy całą trasę!

– Dasz radę? Nie ma sensu dopuszczać do tego, żebyś się, nie daj Boże, zaziębiła.

– A właściwie to od kiedy ona jest twoją sąsiadką, ta cała pani Basia? Dawniej nigdy jej nie spotykałam.

– Bo ona tu nie mieszkała. Dopiero kiedy jej córka wyszła za mąż, oddała jej dom pod Warszawą, a z mężem kupili sobie mieszkanie po Wiśniewskich w naszej kamienicy.

– Jaki dom pod Warszawą, ten w Konstancinie?

– Pewnie tak. Nie wypytywałam córki, gdzie mieszka, w końcu to znajomość zdawkowa. Aż dziw bierze, że aż tyle czasu poświęciłyśmy pani

Basi Śliwińskiej, jednej z moich sąsiadek, jakby była nie wiem jak ważna w moim życiu.

Wypowiadając te słowa, Kasia nie miała jeszcze pojęcia, że ich stosunki towarzyskie z Basią ulegną zmianie. Nie przypuszczała, że mimo różnicy wieku staną się sobie bliskie i mocno się zaprzyjaźnią.

Rozdział drugi

W pensjonacie „U Jagi” weekendowe obiady i kolacje różniły się od innych tym, że odbywały się w całej, nie przedzielonej kotarą sali, to znaczy brało w nich udział niemal dwa razy tyle osób, co w dni powszednie. Pensjonariuszy bowiem odwiedzały ich rodziny i przyjaciele. Kasia z matką tej soboty nie spodziewały się wizyty swoich bliskich, bo dzieci z wnukami były w Zakopanem, a Maciek na jakiejś swojej PZM-otowskiej imprezie. Toteż zdziwiły się na widok dodatkowego nakrycia na ich stoliku.

– Mam nadzieję, że mogę przytulić się do pań na ten weekend. – Usłyszały głos Jagi. – Mój dyrektorski stolik zmuszona byłam oddać gościom.

– Ależ nam miło, czujemy się zaszczycone – odpowiedziała Kasia.

– A ja to robię z zazdrości – weszła jej w słowo Jaga. – Zazdroszczę ci, że masz mamę i cieszę się, że będę miała okazję z nią porozmawiać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – włączyła się Zofia. – Doskonale panią rozumiem, bo ja sama straciłam mamę w dwunastym roku życia.

– Wobec tego Kasia jest nieprawdopodobną szczęściarą – stwierdziła Jaga i zwracając się do Kasi, zapytała: – Tylko czy ty, moja droga, to doceniasz?

– Co prawda, to prawda... W tej materii czuję się naprawdę szczęściarą i możesz być pewna, że to doceniam. Słodko jest, będąc babcią, słyszeć z kochanych ust ten zwrot: „Kasiu, moje dziecko”.

– Wyobrażam sobie! – przyznała Jaga. – Tym bardziej że osoba, która to wypowiada, ma w sobie tyle ciepła, że chciałoby się do niej przytulić i wypłakać na jej piersi.

– A wiesz, Jaga, że nie jesteś pierwszą osobą, która tak określiła moją mamę? Dokładnie to samo powiedziała kilka lat temu inna moja koleżanka.

– A zatem dobrze panią Zofię wyczułam. Przepraszam za wścibstwo, ale co to za cuda pani haftuje? Dziewczęta, które u pani sprzątają, nie mogą się nachwalić.

– A, takie tam płócienne zasłony na jesienne dni. Chcę rozjaśnić pokój.

– Jakie znowu zasłony? Nic mi nie mówiłaś, mamuś.

– Bo dopiero tutaj wpadłam na ten pomysł.

– I po to kupowałyśmy ten ciężki, kilkumetrowy kawałek białego lnianego płótna, którego nie mogłam donieść ze sklepu do pensjonatu, choć to zaledwie pięćset metrów? Nie mogłam zrozumieć, po co ci ta tkanina. Haftujesz to? Dwanaście metrów płótna?

– W dodatku ponoć pięknie – wtrąciła Jaga. – Mam nadzieję, że będę mogła to zobaczyć.

– Naturalnie, ale to nic nadzwyczajnego, rozczaruje się pani – powiedziała, krygując się, Zofia.

– Sama jestem ciekawa, co znowu wymyśliłaś. Że też nic o tym nie wiedziałam! – zdenerwowała się Kasia.

– Bo skroiłam i zaczęłam haftować te zasłony wtedy, gdy ty pracowałaś. Chciałam skończyć chociaż jedną, zanim komuś pokażę.

– A ile ich jest?

– Cztery, każda o szerokości trzech metrów, długości dwóch.

– Ojej, to nieprędko skończysz pierwszą!

– Właśnie ją skończyłam.

– Nie wierzę...

– A jednak...

– Pani Zofio, wobec tego pokaże nam pani swoje dzieło zaraz po obiedzie – zdecydowała Jaga.

Ponieważ były już na półmetku posiłku, szybko się z nim uporały.

– A jakbyśmy tak deser zabrały do pokoju mamy? Tam zrobimy kawę i herbatę – zaproponowała Kasia.

– Też o tym myślałam – wyznała Jaga. – Tylko nie wypadało mi tego proponować.

Sprawczyni pospiesznego jedzenia wycierała właśnie usta, bezkarnie zostawiając na talerzu połowę drugiego dania. Twierdziła, że porcje są dla niej za duże. Ale tym razem nie dostała od córki reprimendy, bo ta była ciekawa, co też matka nowego stworzyła. To, że ma niezwykły talent do robótek ręcznych, nie było dla niej tajemnicą, jak i to, że ich poziom odbiega od wytworów określanych tą nazwą. Zofia sama rysowała wzory i dobierała kolory tak, że jej dzieła przypominały raczej tkaniny artystyczne niż prace amatorskie. Poza tym rzeźbiła w drewnie i korze.

Zacząło się to na dobre wtedy, kiedy „nastał” przy niej Władzio. Jej życie, do tego czasu wypełnione ciężką pracą, zamieniło się przy nim w idyllę. Robił wszystko, aby Zosińce usuwać spod nóg nie tylko kłody, ale też i pyłki. Pomagał jej we wszystkim, wyręczał w zakupach, a ponieważ nie dopuszczała go do gotowania, ułatwiał to zajęcie, jak mógł: szatkował, kroił, obierał i tak dalej. Kiedy zobaczył, że w wolnych chwilach lubi rzeźbić, postarał się o miękkie drewno lipowe i korę. Kupił jej zestaw profesjonalnych narzędzi, a gdy spytała, skąd je wziął, odrzekł, że dla chcącego nie ma nic trudnego. To on wyszukał ogłoszenie o Międzynarodowym Biennale Lalek w Krakowie, kiedy zauważył, że wyrzeźbione przez siebie figurki zaczęła malować i ubierać.

Kasia nie zapomni, jakie wrażenie zrobiły na niej te cudeńka. Maleńkie, pełne wyrazu buzie (każda zupełnie inna!), miniaturowe peruczki

i kostiumy kolorowe, z hafcikami, które gdy się na nie patrzyło, zdawały się być robione z użyciem lupy, tak były drobnutkie i precyzyjne. Ale Zofia mimo podeszłego wieku wciąż miała dobry wzrok. Władzio przyglądał się jej wytworom i rozmyślał, jak pokazać je światu. Najpierw więc poszedł do Zamojskiego Domu Kultury z ich fotografiami i propozycją urządzenia wystawy tych prac. Wiedząc o tym, że Zofia będzie się krygować, użył podstęp. Zaprosił panią dyrektor, żeby wpadła do nich na obiad jako bliska znajoma jego rodziny, co zresztą nie odbiegało od prawdy, bo była zaprzyjaźniona z jego siostrą. Przy okazji miała obejrzeć prace Zofii i jeśli jej się spodobają (w co nie wątpił), zaproponować ich autorską wystawę w miejskim domu kultury. Oczywiście, żeby zaproszonej było rażniej, Władzio nie zapomniał o jej przyjaciółce, swojej siostrze Irenie, dzięki czemu wizyta nowej „znajomej” wyglądała bardziej naturalnie.

– Jakże się cieszę, że mogę panią poznać, pani Zofio. Tyle dobrego o pani i tych magicznych pracach słyszę wciąż od Irenki, że zaproszenie przyjąłem z wielką radością. A szczerze mówiąc, to ja się tutaj wprosiłam – powiedziała pani Roma.

– Nie przesadzajmy! – zaprzeczył szarmancko Władzio.

Jak przewidział, zanim goście wyszli z ich domu, padła propozycja wystawy nie tylko lalek, ale i innych prac, w tym haftów Zofii. Pani Roma Gasiuk była nimi urzeczona.

Wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem, a zwiedzający ją pytali, czy można by z niej coś kupić. Autorka była zaskoczona i chciała wyrazić zgodę na sprzedaż niektórych lalek, haftów czy rzeźb, jednak Władzio ku jej zdziwieniu kategorycznie zaprotestował. Uknuli już bowiem z panią Romą nową intrygę. Załatwili Zofii udział w Międzynarodowym Biennale Lalek, na którym została uhonorowana jedną z trzech głównych nagród.

To były początki kariery artystycznej mamy – pomyślała teraz Kasia. – Inspirator jej sukcesów nie żyje już jedenaście lat... Biedny Władzio miałby obecnie, podobnie jak matka, dziewięćdziesiąt trzy lata! Żył stanowczo za krótko. Kasia po wielokroć, wspominając tego dobrego człowieka, wyobrażała sobie, jak nadal wspólnie gospodarują w nowym, warszawskim mieszkaniu Zofii, tak podobnym do ich zamojskiego mieszkania. Szkoda, że los chciał inaczej.

Teraz oto przyszły razem z Jagą do jej pokoju i matka wyjęła z szafy swoje dzieło. Kiedy rozłożyła na tapczanie wielką zahaftowaną tkaninę, córka i ich gość dosłownie oniemiały.

Białe płótno ozdabiała regularnie porozkładane wianuszki i wiązanki polnych kwiatów. Dobór kwiatów i kolorów był dość żywy, ale i subtelny.

– Ależ to poruszająco piękne – wyszeptała Jaga. – Gdybym tego nie zobaczyła, nie uwierzyłabym, że ktoś to zrobił ręcznie. Wygląda jak najpiękniejsze wytwory Belle Époque, prawda Kasiu?

Zagadnięta tylko pokiwała głową. Myślała, że matka nie zdoła jej już zaskoczyć. A jednak!

Głośny śmiech Jagi wyrwał ją z zamyślenia.

– Co się stało? Dlaczego się śmiejesz?

– Bo jesteście z mamą tak podobne.

– My? Nikt nam tego nie mówił.

– Kiedy jesteście z siebie dumne, macie identyczne miny. Pani Zofia miała taką samą, kiedy się chwaliła tobą przy stole. Coś nieprawdopodobnego! Ale wróćmy do tego cudenka. Wyobrażam sobie, jak to będzie wyglądało w całości. Nie daruję sobie, jeśli nie zobaczę – mówiąc to, pani dyrektor pensjonatu wdrapała się na krzesło i zaczęła zdejmować zasłonę z okna, żeby zastąpić ją tą wyhaftowaną przez panią Zofię.

Efekt był piorunujący. Rzeczywiście Belle Époque!

– O Boże, jakie to słodkie! I jak pasuje do tutejszych mebli. Chciałabym to mieć tu, w pensjonacie. Przynajmniej w jadalni. Ale... nie wypłaciłabym się pani. Taka robota musi słono kosztować.

– Dlaczego? – spytała Zofia.

– Bo jest piękna, wymaga talentu, cierpliwości i czasu.

– Dziękuję pani. A co do ceny, to nie mam pojęcia, bo nigdy nie robiłam nic takiego na sprzedaż. Nie! Kłamię! Na Syberii wyprzedalam wszystko, co chcieli kupić. Ale wtedy chodziło o przetrwanie.

– Czyli mam się pożegnać z zamówieniem?

– Tego nie powiedziałam.

– Mamuś, nie wygłupiaj się. Wiesz, jak długo musiałybyś ślęczeć bez ruchu, haftując te kilometry tkaniny?

– Ale ja lubię haftować.

– No nie! Nie gniewaj się Jago, ale ja protestuję. Mama powinna się ruszać, dla zdrowia, a jak już utknie przy takiej pracy, to jej na spacer nie wyciągnę i w ogóle... Jak zaczniesz coś robić, to nie dojdiesz z nią do ładu, póki nie skończy.

– Sralis mazgalis – zaprzeczyła Zofia jednym ze swoich słynnych powiedzonek. – A teraz to nie chodziłam na spacer, jak mnie wyciągałaś?

– Tego by jeszcze brakowało! Nie po to tu przyjechałyśmy, żeby unikać powietrza.

– W niecałe trzy tygodnie, w wolnych chwilach, kiedy ty robiłaś te twoje tłumaczenia, ja wyhaftowałam jedną trzecią tego, co mam do zrobienia.

– Brawo! Ale na potrzeby jadalni Jagi musiałybyś siedzieć i ścibolić kilka miesięcy. Nie dasz rady.

– Głupio się czuję, że mi się tak zaświeciły oczy na widok tych piękności. Nie wiedziałam, że siedzenie nad haftem pani Zofii szkodzi.

– E tam, szkodzi. Zawracanie głowy! Dlaczego ty, Kasiu, za mnie mówisz. A może ja chciałabym pani Jadze zrobić te zasłony. Zabronisz mi?

– Oczywiście, że niczego ci nie zabronię, ale to wydaje mi się nierealne. Nie dasz rady.

– Ja? Nie takim rzeczom dawałam radę. Mówisz, jakbyś mnie nie znała.

– Och, mamuś! Wiem, do czego jesteś zdolna, ale teraz masz już dziewięćdziesiąt trzy lata i musisz na siebie uważać.

– Sama wiem najlepiej, co mogę, a czego nie mogę. Nie musisz mną dyrygować, lepiej idź do tych swoich tłumaczeń, bo nie zdążysz wszystkiego zrobić.

Kasia otworzyła usta ze zdziwienia.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli rzeczywiście pójdę. Przepraszam cię, Jaga, nie bierz tej naszej sprzeczki do siebie. Muszę mieć kontrolę nad tym, co mama robi, bo bywa szalona.

– Doskonale to rozumiem i też was przepraszam, że tak to się potoczyło.

Kasia wyszła, a Zofia zatrzymała u siebie Jagę i obiecała jej, że wyhaftuje dla niej zasłony.

– Kochana pani jest – wzruszyła się Jaga – ale Kasia uświadomiła mi, że to zadanie jest naprawdę ponad pani siły.

– To potrwa, ale zrobię to.

– Byłoby to dziesięć razy tyle, ile pani zrobiła, proszę się zastanowić.

– Dam radę!

– Nie chciałabym, żeby przez mój kaprys...

– Ale dlaczego miałabym nie spełnić kaprysu sympatycznej osoby?
Będę dumna, że moja praca zawiśnie w tak uroczym miejscu.

– A ile to by mogło kosztować? – zapytała Jaga.

– Na pewno się dogadamy – odpowiedziała, machnąwszy ręką, Zofia.

Kasia zażenowana tym, że przy Jadze nerwy jej puściły i napadła na matkę, zamiast usiąść do pracy, położyła się na łóżku i postanowiła uciąć sobie drzemkę. Mróz panujący na spacerze i obfity posiłek pozbawiły ją energii. Zanim zdążyła zasnąć, usłyszała pukanie do drzwi. Zerwała się i przekręciła klucz w drzwiach.

– Przepraszam, że przerywam ci pracę, Kasiu – powiedziała Jaga. – Ale muszę cię powiadomić o decyzji twojej mamy. Obiecała, że postara się zrobić dla mnie te zasłony. Nie mogę jednak angażować jej bez twojej wiedzy.

– Wejdz, proszę. Jak się mama uprze, to nic jej nie powstrzyma. Ale czy da radę, to już inna sprawa. Powinnaś się liczyć z tym, że ona robi się coraz starsza i może w jakimś momencie nie móc tego dokończyć. Myślę, że bezpieczniej by było, gdyby mama to zaprojektowała, a inne hafciarki wykonały projekt.

– Masz rację, nie pomyślałam o tym. Tylko wolałabym, żeby zapłaty nie musiała z nikim dzielić.

– Porozmawiam z nią. Mam nadzieję, że da się przekonać.

– Jeśli ci się uda, nie będę miała wyrzutów sumienia, że jej szkodzę. Nie miej do mnie żalu, Kasiu. Gdyby chodziło o moją matkę, postąpiłabym tak samo.

– Ty też nie miej do mnie żalu. Przepraszam, że przedtem tak ostro zareagowałam.

– Rozumiem, przykro mi, że do tego doszło, ale mam nadzieję, iż między nami nic się nie zmieni.

– Na pewno – obiecała Kasia. – I przestańmy już o tym mówić!
Napijesz się kawy?

– Z tego wszystkiego zapomnieliśmy o deserze. Ciastka są u pani Zofii, ale wystarczy nam kawa.

– Te twoje desery! Są pyszne, ale już mi się zaokrągliły boki, bo zabieram je do pokoju i pożeram przy pracy. Siedzącej!

– Nic ci nie będzie, masz świetną figurę. Od czasu do czasu trzeba dogodzić podniebieniu. Co innego, gdybyś tak jadała przez cały rok. A jak ci idzie praca?

– Nie najgorzej, chyba skończę do końca pobytu.

– A nie mówiłam? Nigdzie nie pracuje się tak, jak „U Jagi”.

– Co prawda, to prawda.

Rozdział trzeci

Katastrofa! – wykrzyknął Maciek, wchodząc do domu.

– Rany boskie, co się stało? – zapytała przestraszona Kasia.

– Nie oglądałaś wczoraj wiadomości, nie widziałaś, co podpisano w Atenach?

– No wiesz! Wczoraj się z tego cieszyłeś, a dziś uważasz to za katastrofę? Skąd taka nagła zmiana poglądów?

– Zwariowałaś? Jaka zmiana poglądów? To, że nas przyjęli do Unii Europejskiej, uważam za coś wspaniałego, ale katastrofą jest to, że nigdzie nie mogłem znaleźć unijnej flagi!

– A po co ci ona już teraz? Jeszcze nie jesteśmy przyjęci, tylko ustalono, że można i o nas Unię rozszerzyć, ma być referendum...

– W Warszawie znajdę, przywiozę. Powiesimy unijną flagę razem z polską na ganku.

Kalczyńscy przebywali aktualnie w swoim Letnim Domu. Jak zwykle przyjechali tu już na Wielkanoc. Kasia z mamą lubiły obserwować budzącą się do życia przyrodę. Od czasu do czasu sprawy związane z pracą zawodową zmuszały Kasię do pojawienia się w Warszawie, ale gdy tylko je załatwiła, szybko wracała na łono natury. Teraz chciał się wybrać do Warszawy jej mąż, bo miał problem z flagą.

– Jeszcze na nią za wcześnie – starała się go przekonać. – Poczekaj na referendum.

– Znam z góry jego wynik – zapewnił Maciek.

Był człowiekiem lubiącym demonstrować swoje uczucia patriotyczne, toteż niemożność spełnienia tego, co zaplanował, denerwowała go.

– Przecież i tak wracasz zaraz do Warszawy. Tam sobie powiesz flagi.

– Tu też muszą być.

– Przyjdzie na to czas, to zawisną – powiedziała spokojnie Kasia i puściła oko do Basi Śliwińskiej, którą tym razem zabrali z sobą do Leśnego Domu.

Ostatnio kobiety bardzo zbliżyły się do siebie. Zaczęło się od tego, że córka Kasi, Zosia, dostała list od hiszpańskiej przyjaciółki, napisany w jej ojczystym języku.

Dolores po prostu zapomniała o tym, że w Paryżu, gdzie się poznały, rozmawiały z sobą tylko po francusku. Zarówno znająca różne języki Zosia, jak i jej matka akurat hiszpański znały tylko jako tako. Napisała maczkiem epistoła Dolores była dla nich w większości tyleż niezrozumiała, co trudna do odczytania. Wtedy Kasia pomyślała o pani Basi, która przez kilka lat pełniła funkcję attaché kulturalnego w Madrycie.

Sąsiadka z Warszawy bez trudu odszyfrowała i przetłumaczyła list. Język hiszpański znała doskonale. Podobnie jak angielski, francuski i włoski. Przy okazji ucięły sobie z Kasią długą rozmowę, po której obie odkryły, że mają mnóstwo wspólnych upodobań. Zaczęły się odwiedzać w swoich mieszkaniach, chodziły razem do Zofii, którą Basia też oczarowała swoimi opowieściami z krajów, które odwiedzała nie tylko dzięki pracy, a także rozległą wiedzą. Tak się polubiły, że Kasia z mamą ani się obejrzały, jak zaprosiły ją na Wielkanoc i pobyt letni do Leśnego Domu. Dla Kasi taka sytuacja miała i to znaczenie, że w razie koniecznego wypadu do Warszawy nie musiała zamartwiać się o matkę. Basia mimo swojej osiemdziesiątki na karku była pełna wigoru i bardzo wobec Zofii opiekuńcza.

Oczywiście jak większość gości Leśnego Domu doceniła jego zalety i tak samo jak kiedyś Bernadette, paryska przyjaciółka Kasi, nazwała go

„rajem”. Okazała się dobrym kompanem na leśne wyprawy i lubiła pływać. Ale nade wszystko gospodynie ceniły sobie rozmowy z nią. Była świetnym narratorem, miała mocno rozwinięty zmysł obserwacyjny. W czasie którejś z jej opowieści Kasia powiedziała nagle:

– A nie pomyślałaś, Basiu, żeby to, o czym opowiadasz, przenieść kiedyś na papier? Masz niezwykły dar opowiadania. Jeśli potrafisz pisać tak, jak mówisz, ludzie będą cię czytać jednym tchem.

– Muszę się przyznać, że nieraz przychodziło mi to do głowy, ale debiutować w tym wieku to szaleństwo.

– Dlaczego? Bardzo dużo ludzi będąc na emeryturze, zaczyna pisać. Nie ma limitu wieku na debiut pisarski.

– Masz rację, może i ja spróbuję swoich sił w tej materii.

– I będziesz miała mniej czasu na zakupy w second-handach. Córka się ucieszy.

– Obyś dobrze wieszczyła. Wiesz, że to nie w pełni zależy ode mnie.

– Basieńko, bardzo dużo zależy od ciebie, tylko nie chcesz się temu poddać.

– Ja wiem, że trudno to zrozumieć, ale przychodzi taki moment, że muszę sobie czymś poprawić humor i wtedy klops z postanowieniami. *À propos*, pewnie nie zechcesz mnie zabrać w sobotę na „Radość o poranku”?

– Dlaczego? Jadę na zakupy żywnościowe, między innymi na targ. Z chęcią cię zabiorę. Tak okrutna to ja nie jestem. Nie chcę, żebyś przez cały następny tydzień chodziła z nosem na kwintę. Inna rzecz, że nie znajdziesz we mnie kompana do zachwywania się szmatami.

„Radość o poranku” to wielki targ staroci, odzieży, butów, wszelkich cudów z drugiej ręki. Tak tu jest w regionie: we wtorek i piątek w Piszcu, w środę i sobotę w Nidzie, w czwartki w Myszyńcu. Handlarze warzyw, nabiału i wszelkich innych poszukiwanych produktów przemieszczają się

zgodnie z harmonogramem. Targi to również miejsce spotkań i wymiany poglądów. Dlatego cała miejscowa społeczność czuje się zobowiązana, by się tam pojawiać. Podobnie jak okoliczni letnicy.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Rozdział czwarty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział piąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział szósty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział siódmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział ósmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziewiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziesiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział jedenasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwunasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzynasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział czternasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział piętnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział szesnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział siedemnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział osiemnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziewiętnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dostępne w wersji pełnej